



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. i. sgr. 20.

KROPELKA ROSY.

Kropelka rosy na listku drżąca,
To jak oaza świeżością tchnąca,
Dla drobnych skrzydlatych rzesz.
Pszczoła tam leci po dziennym znoju,
I muszka zdąża do tego źródła,
I ty robaczku tam śpiesz.

Tak czasem jedna jaśniejsza chwila,
Ziemni niebiosu niby przychyła,
Przenika do głębi dusz;
Zapala zimnych, w drodze żywota
Pokrzepia smutnych, jak gwiazdka złota,
Przyświeca wśród ciemnych burz.

Choćby się potem za chmurę skryła,
Z blasków rzuconych powstaje siła,
Która ma długi swój ślad;
Bo dusza ludzka, raz spromieniona,
Odbicie światła, wzięte w głąb' łona,
Przechowa przez szereg lat.

K. L.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Damazy pogardliwie ramionami poruszył.
— Bylem ją miał—rzekł. — Zbiegnę jaknajdalej, znajdę służbę. Pójdę za leśniczego, za pisarza, bodaj za parobka.

Podłowczy śmiać się zaczął.
— Piękny jej los zgotujesz!—odparł. — Myślisz, że o głodzie i chłodzie długo miłość wytrwa.

Pogardliwie spojrzął na brata Damazy.
— Gdybyś ją znał, nie mówiłbyś tego—odrzekł krótko. A no—darmo już wodę warzymy—daj mi rękę i wyprowadź za bramę. Lisiurkę ci odesłę.

Opieszale i niechętnie za czapkę wziął podłowczy. Damazy zapiał lisiurkę, z kołka zdjął, nie pytając, czapkę starą; spojrzął na nogi swe, jak się przy krótkiej kurtce wydają, i wziął za kłamkę.

Na dworze było już ciemno, ale od śniegu trochę widną była wybita w podwórku ścieżynka. Milecząc, poczęli nią bracia iść do bramy, w której zdala już widać było ludzi gromadę. Drzwi od kordegardy stały otworem i czerwony odblask ognia padał przez nie na wnętrze sklepienie. Ciury podpile wadziły się i śmiały, zagrządzając drogę.

Znano pana podłowczego i o wypuszczenie go z zamku, z kimbykolwiek szedł, trudności nikt nie mógł zrobić — ale ostrożny Marcyan nie rad był,

że go z bratem zobaczą. Szepnął mu, aby twarz kołnierzem od kurty przysłonił trochę, na wszelki wypadek.

Próżna to była obawa, bo gawiedź w bramie tak żywo sobą samą zajęta, że na przechodzących spojrzeć nie miała czasu.

Przeslizgnęli się więc prawie niepostrzeżeni. Podłowczy nie chciał tak zaraz brata opuścić i zbyt prędko powracać: puścił się więc z nim podwalem, choć oba już do rozmowy nie mieli ochoty. Doprowadziwszy do miasteczka Damazego, Marcyan podał mu rękę.

— Serce mi się kraje — rzekł — gdy myślę, co ciebie czeka. Zlituj się nad sobą! zlituj! a i jej ciężkiego losu nie gotuj.

Nie chciał słuchać Damazy, objął rękami za szyję brata i począł go całować.

— Serca mi nie psowaj — rzekł — co ma być, to się stanie.

Tak się rozstali. W chwilę potem podłowczy powracał na zamek. Nie miał on zwyczaju odwiedzać Zaborskich: widywał je zdaleka, bliższych z nimi stosunków unikał. Wiedział o tem, że pilno patrzano, kto tam bywał, a książę gości, szczególnie młodzieży, nie lubił. Wolski też szpiegował tych, co tam zaglądali. Nie miał wielkiej ochoty pójść do nich podłowczy, ale mu się zdawało, że może będzie miał sposobność słowo szepnąć pannie Faustynie i przez nią na brata wpłynąć, aby się na zgubę z nią razem nie wystawiał. Wprost więc, ku lewemu skrzydłu zmierzając, gdy zobaczył, że się u Zaborskich w oknach świeciło, poszedł na górę.

W bawialnej izbie słychać było rozmowę; zdala już rozeznął głos Wolskiego i gotów się był zawrócić, ale ponieważ tem-by się w podejrzenie podał, wolał więc do niego zmyślić interes.

Zobaczywszy go, Zaborska zdziwiła się mocno; Wolskiemu oczy dziko zaświeciły. Marcyan pokłonił się odniechcenia i zwrócił do faworyta książęcego.

— Pan mi daruje, że ja go tu aż gonię, ale nie mam żadnej dyspozycji co do polowania, a pora bardzo dobra i druga taka może się nie nadarzyć tej zimy. Sam do księcia iść nie śmiem.

Wolski skrzywił się, nie chciał mu się ztąd odchodzić, a podłowczemu zostać dłużej pozwolić nie chciał, bo na kanapie siedziała panna Faustyna, która patrzyła na gościa bardzo ciekawie.

Syknął więc tylko, klnął pocichu—i zawołał:

— Idę—idę.

Podłowczy spojrzał znacząco na pannę, skłonił się i skrył zaraz za drzwiami. Wolski siedział z nim—zły.

— Co wam tak to polowanie pilne?—rzekł kwasi.

— Jak-że nie ma być?—odparł Marcyan.—Potem książę na nas składa, gdy zwierzyny niema, a bez rozkazu księcia, albo waszego, ja się nie wazę.

Tem zestawieniem księcia z Wolskim polechtał Marcyan trochę i udobruchał faworyta. Wyszli w dziedziniec.

— Pójdę do księcia po rozkazy—rzekł Wolski i obrócił się do Marcyana, wstrzymując już odchodzącego. — Słuchaj-no. — Był, słyszę, wasz brat tutaj?

— A był—ale go wyprawił w świat, bo nie było mu tu co robić. Nigdzie miejsca nie zagrzeje, dobry człowiek, ale niespokojnego ducha. Pojechał sobie.

Nie wiem, będzie służby szukał, albo w Kordniu lub w Wołczyńcu, a może i Nieswieżu. Nie chciałem go tu skrywać, bo i nie mam gdzie pomieścić—i—nie chce, żeby próżnował.

Wolski, nic nie odpowiadając, wysłuchał i zawrócił do księcia.

Była to zwykła godzina, o której wieczorem książę różnych przyjmował ze swego dworu oficyalistów, urzędników i przybyłych z wsi rządzących. I tym razem, siedział, zwyczajem swym w gabinecie, u stolika, na którym dwie żółte świece woskowe się paliły, zasłonięte parawanikiem zielonym.

Pokój był dosyć obszerny, a choć go ogień na kominie pałający się i owe dwie świece oświecały, znaczejszą część jego tonęła we mroku.

Oprócz stołu, wielkiego i wygodnego krzesła z podnóżkiem, na którym rozparty, z wyciągniętymi nogami, książę chorąży się rozpiętał, rękę obrzękłą, żółtą trzymając na stole—sprzętów było mało i nieznaczących. Charakteru człowieka trudno było z nich rozpoznać. Biurko do pisania, bronzami przyozdobione, nie zdradzało, aby go zbyt używano, papierów nawet na niem widać nie było. Obok stojąca zamczysta szafa, pięknie drzewem wykładana, niewiadomo do czego służyć mogła. W wielkiem oddaleniu przy ścianie, od progu, skromnych parastolków przysunięta była do muru. Widać, nie często tu siedzieć przoszono, a kto mógł przysiąść, trzymał się zdaleka. Nad stołem zawieszony wenecki zwierciadło miało w ramie radziwiłowski herb z paludamentem. Na biurku dostrzedz było można niewielki krzyż czarny, z Chrystusem, z kości słoniowej. Jakis chłód, smutek i groza wiały od tych ścian nagich, do których żadna myśl nie przylgnęła, żadna oznaka uczucia jakiegoś lub upodobania.

Rozparty w krzesle, książę chorąży, postać szerokich rozmiarów, wiekiem już jakby rozlana, miała podobieństwo rodowe do starych portretów rodzinnych, z twarzami posępnymi, poważnymi, w których myśli nie było wiele a dumy więcej nadewszystko. Rysy wydłużone, przeciągnięte, podobnie obwisłym jeszcze zwiększone, w tej dobie życia nie miały już wyrazu innego, nad uroczystą, w sobie zamkniętą, dumę. Lecz znużenie wielkie zdawało się z nią walczyć, chwilami ciężkie powieki opadały na oczy zbladłe, usta się chowały w fałdach, które oblicze było porwane.

Książę spoczywał, i choć nie spał, ani drzemał nawet, sapał ciężko. Szeroka pierś wydawała się czemś obciążoną. Nogi, wsparte na podnóżku, grube, nieforemne, jakby nabrzmiałe, drgały niekiedy bólem, który zarazem twarz chwilowo wykrzywiał. Futerką podbita, zwierchnia sukna,

okryta atlasem, pod nią żupan mieniony, lekki pas—składały ubranie.

Książę tylko co był odprawił gościa, przybyłego w sprawie sejmikowej, który go zniecierpliwiał i znudził, bo pieniędzy potrzebował na forytowanie kandydatów; gdy, nieopowiadając się, wszedł Wolski i stanął u progu i oznajmił się tylko lekkim kaszelkiem. Sygnał to być musiał dobrze księciu chorążemu znany, bo, usłyszawszy go, niepodnosząc nawet powiek obwisłych, grubym głosem, na wpół ochrypłym, do mrużenia niedźwiedziego podobnym, ozwał się:

— Pójdź sam tu!

Wolski w dziedzińcu zamkowym, a w tej izbie, i przed obliczem pana: były to niemal dwie zupełnie różne figury. Tam on obracał się swobodnie, zuchwale, patrzył na ludzi z góry, obchodził się z nimi szorstko; tu był pokorą i niemal nicością. Twarz, ruchy, postać, zupełnie się zmieniły; zdawał się mniejszym nawet i szczuplejszym. W dziedzińcu na panicyz wyglądał; tu—na biednego chłopię służebnego.

Od progu idąc, z podłobą pilno się wpatrywał w pana, chcąc zbadać, w jakim go znajdzie usposobieniu. Wyraz zmęczenia i wyczerpania nadto był widocznym, ażeby uszedł bystrego wzroku faworyta.

Oczy księcia chorążego ciągle jeszcze ospale były przymknięte powiekami, jakgdyby drzemał.

— A co tam?—zamruczał, czując, że Wolski się przybliżył.

Wolski, którego głos zwykle był ostry i piskliwy, odezwał się cicho i łagodnie:

— Nowego niema nic, proszę jaśnie oświeconego pana.

Oczy chorążego dopiero się teraz podniosły, ale wargą dolną, obwisłą, jeszcze się drzemać zdawała, wpatrzył się w faworyta, bo wiedział, że gdy nie było nic do donoszenia, on zawsze jednak coś wyszperał. Nie pytał już, czekał na należną dаниnę.

— Karmuczka umarł w nocy.

Oczy słuchającego powiększyły się jeszcze bardziej, a czoło wysiłkiem jakimś pamięci zmarszczyło.

— Karmuczka?—jaki?

— Sześć lat temu wsadzony za zuchwalstwo, ten, co tłómaczył się, że jaśnie oświeconego pana nie znał.

— Gdzie siedział?

— Pod wieżą, w czarnym lochu.

Zadumał się chorąży.

— To cóż?—bąknął.

— Siostra, płacze, żeby go mogła pochować na mogilkach.

Lice księcia przybrało wyraz trwogi, oczy strzeliły groźnie.

— A zkąd wiedzieć ma, czy żyw czy umarł?

— Ciało wynieśli.

— Bałwany, łajdaki!

— Ja zaraz mówilem—począł cicho Wolski—że trzeba było nocą go wywieźć i pochować, a to wi-na klucznika.

— Posadzić go na miejscu tego Kar.... Kar.... jak się tam zwał?

Wolski odpowiedział. Na tem się skończyło. Była chwila odetchnienia. Chorąży począł niewyraźnie szemrać pod nosem:

— Subordynacyi niema, w kordygardzie hałas po nocy, aresztantom piwo i miód noszą: ja wiem. Surowo zakazać. Patrzeć, aby mi nieporządków nie było.

Spoczął nieco i po chwili mrucał znowu:

— Te bestye, co po lochach siedzą, czego oni śpiewają? he? żeby ludzie ich słyszeli?

— Mówią, że pobożne pieśni.

— Nie wolno: w lochach powinno być cicho.

Wolski nie odpowiedział nic. Książę znowu drzemać się zdawał.

Po chwili szepnął, bardzo nieśmiało:

— Ten szlachcic Sulima....

— Psia krew!—wtrącił książę nawiasem, pięść leżącą na stole zaciskając.

— Chory bardzo w więzieniu, może-by.... Wolski, zobaczywszy groźnie na siebie skierowane wejście, nie dokończył. Chorąży usta wykrzywił.

— He? co? może-by szelmie temu doktora Du-

biskiego posłać? he? i ulepki mu dawać! A niech zdycha! niech zdycha!

Głos podniesiony stał się groźnym, faworyt nie śmiał się już odezwać! Chwila upłynęła—książę dumał.

— Co temu łajdakowi jest?—zapytał.

— Nie wiem—rzekł ostrożnie Wolski.

— Toś k... — wybuchnął gniewnie chorąży — powinieneś wiedzieć o wszystkim; to twoja psia powinność.

— Jego już dawno jakaś febra trzęsie—wyszeptał Wolski.—A z tą jego żoną niema spokoju—dodał—bo pod bramą niemal codziennie siedzi i płacze.

— Czemu jej nie wysmagają i nie przepędzą?

— Było i to, ale nie pomogło—odparł Wolski.

— Znowu się zadumał książę.

— Jak on długo siedzi?—zapytał.

— Drugi rok.

Odpowiedzi nie dał książę. Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Butrym powiada, że trzebaby zapolować, bo pole dobre.

Książę nie zdawał się słyszeć tego—dumał.

— Niech-no Butrym pamięta — odezwał się, wyczekawszy, — że mnie moc żywego zwierza potrzeba. Moc, moc, żeby tego było siła, jak nigdy. Niechaj policzą, co tam jest. Niedźwiedzi, choćby dziesięciu, mało, a i łosie, i wilki i kozy potrzebne. Zwierzyny zawsze dosyć, a w kłatkach mało: ja żywego chcę.

— Czy jaśnie oświecony pan każe, aby z sieciami szli i łapali. Mam nakazać Butrymowi?

— Mówilem już — niech robią co chcą — i żywego mi trzeba, a nie pokaleczonego.

Wolski wiedzieć już musiał, na co książę zwierza tyle w kłatkach potrzebował, i nie pytał o to. Zadumał się książę, pomrukując: — Niedźwiedzi.

— Tu już ich po naszych puszczech mało — odparł Wolski — i co są, to nie wielkie, bartniki.

Z Nieswieża i Naliboków-by ich łatwiej.

Na wspomnienie Nieswieża twarz chorąży w jedną stronę ściągnął i skrzywił się, nie mówiąc nic. Potem głowę opuścił i zadumał się.

Wolski miał już odchodzić i pocichu nogę jedną w tył wysunął, gdy książę oczy podniósł i rzekł, zniżając głos:

— Zaborskiej, żeby nic nie brakło—rozumiesz — a oko na nią mieć.

— Tylko com tam był.

— A cóż—kwasi się?

Wolski oczy spuścił.—Nie tak to....

— Gdyby stara gdzie koni chciała, to jej dać; ale żeby na noc powracała zawsze.

Właśnie kończył tę instrukcję książę, gdy drzwi drugie, bliżej stołu będące, uchyliły się, a w nich ukazała się, wyniosłej dość postawy, ryś, nie pięknych, ale poważnego wyrazu, księżna chorążyna. Wyprostowana, ubrana starannie, ówczesną modą, z fryzurą na głowie, z suknią szeroko rozpiętą na robienie, w chusteczce koronkowej na piersiach, księżna ustrojona była, jakby na uroczystość jaką, choć dzień był powszedni. Ale taka była wola małżonka.

To ukazanie się chorążyny zwiastowało, że wieczera była na stole. Obręcz się na poręczach krzesła sparszy, począł z ciężkością wstawać książę. Wolski-by mu był chętnie pomocnym, ale wiedział, że nie lubił, by go kto wspierał, chcąc, mimo choroby i ocieżałości, udawać jeszcze silnego.

Na twarzy widać było wysiłek i ból; czoło się sfałdowało, usta zacięły. Zebrałszy się nareszcie na podźwignięcie, chorąży powstał, na nogach obrzękłych stanął, chwilę się tak mocował, i krokiem posuwistym począł iść ku żonie, która mu rękę podała.

Wolski tymczasem, cicho cofając się ku drzwiom, znikł we mrokach, jakby wejścia księżny chciał uniknąć.

Z gabinetu księcia, przez pokój obszerny, słabo oświecony, przejść było potrzeba do jadalni. Tu już dość liczne zebrane było towarzystwo. Z kobiet była tylko księżna krajczyna i jedna rezydentka, stojąca opodal nieco.

Na przedzie stał, jakby śpiesząc księcia powitać, biskup Ptolemaidę, proboszcz bialski, ksiądz Riókur, mężczyzna twarzy przystojnej, wieku sre-

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Styczniu 1882 r.

Obraz Matejki *Rzeczpospolita Babińska*. — Wystawa robót kobiecych — Roboty zbytkowne. — Koronkarstwo. — Przemysł domowy włosciański. — Tkactwo. — Walne doroczne zgromadzenie Towarzystwa Sztuk Pięknych. — Mowa Leszka Borkowskiego. — Zapowiedziany przyjazd J. I. Kraszewskiego; przygotowania na jego przyjęcie 1).

Wystawa ręcznych robót kobiecych w Muzeum Przemyslowem, obraz Matejki *Rzeczpospolita Babińska*, wystawiony na czas krótki w Hotelu Europejskim, w przejeździe do Warszawy, i zapowiedziany przyjazd Kraszewskiego — zajmowały w ciągu miesiąca Stycznia głównie uwagę publiczności lwowskiej. Zaczniemy od obrazu „Rzeczpospolita Babińska” jest mniejszą od innych wielkich obrazów Matejki; jakoż i z treści swojej nie zalicza się do obrazów historycznych, chociaż mamy tu przedstawiony cały wiek XVI, Złotą Epokę Zygmuntońską w jej najwybitniejszych postaciach. Z przyjemnością przypatrujemy się zebrałemu tu gronu osób, będących twórcami i przedstawicielami najświetniejszego dzieła naszych okresu, których artysta nie wprowadza tym razem w poważnej chwili szerszego znaczenia historycznego, ale podchwytuje niejako podczas swobodnego wypoczynku i wesołości. Utworzona przez Pszonkę, *Rzeczpospolita Babińska* nie była blagą bez myśli i celu zabawką. Miała ona swe znaczenie satyryczne, była zwierciadłem przywar ludzkich zasługujących na potępienie, i jako taka stanowi jeden z rysów obyczajowych swego czasu i uzupełnia jego zrozumienie. Co było najznakomitszego w Polsce, mężowie stojący u steru spraw publicznych i umysłowości w narodzie, garnęli się do zapisu w *Księgę Babińską*; i oto widzimy ich tu całe grono w pełni zgromadzone na najnowszym tem płótnie Matejki. Uroczysta to chwila dla Babina. W gościnę do pana Pszonki zjechał prymas Dzierżgowski, pierwszy senator *Rzeczpospolitej*, którego zapraszają właśnie dostojnicy babińscy, aby się wpisał w ich poczet. Ochocze biesiadników grono, chcąc użyć dnia pogodnego, zgromadziło się w ogrodzie na zielonym trawniku, w cieniu rozłożystych jabłoni, gestym okrytych owocem. W głębi widać pasiekę; szczyty gołębnika przegładają przez drzew gałęzie; dalej wesoły krajobraz i niebo pogodne, szafirowe. Na pierwszym planie, zasiadł prymas Dzierżgowski, najdostojniejszy z gości pana Pszonki swą senatorską godnością; i oto stojący przed nim gospodarz domu, uwieńczony, podobnie jak niegdyś przy godach starożytni Rzymianie, wieńcem, ale nie róż, ni dębowego liścia, lecz na słowiańskiej ziemi zrodzonych słoneczników, trzyma w ręku rozwinęty dyplom dla nowego dostojnika, a stojący obok Trzycieski, z ukłonem pełnym dworskości, żartobliwie uprzejmym, podając pióro, zaprasza prymasa do wpisania się własnoręcznie w *Księgę Babińską*, rozłożoną na stojącym tuż poza nimi stole, przy którym siedzą Piotr Firlej i Mikołaj Rey z Nagłowic. Stary rubacha zwrócił się do siedzącego w pobliżu księdza Orzechowskiego wraz z żoną i prawi im jakieś koncepta żartobliwe, których pani Orzechowska wrzekomo sroma się słuchać, i twarz pełną, kwitnącą wdziękami, odwraca, wstydliwie ręką się zakrywając. Po przeciwnej stronie obrazu, za krzesłem prymasa, stoi gospodyni domu, pani Pszonkowa, w bogatym stroju, z głową dumnie podniesioną, rada z gości, co świetnie i tłumnie zgromadzili się dzisiaj w jej domu. Obok niej grono niewiast; bliżej, na samym

przodzie obrazu, Jan Kochanowski z Marcinem Bielskim grają w szachy na trawniku, na ziemi. Kochanowski, jeszcze młodzieńcem, z sympatycznym wyrazem twarzy, zapatrzyony w szachownicę rozważa sytuację gry i rozmyśla nad posunięciem; podczas, gdy Bielski, korzystając z chwili namysłu przeciwnika, ciekawem okiem kronikarskiem ogląda się poza siebie, wzrokiem chwytając odbywającą się tuż obok scenę. Przy nich, na ziemi, siedzi Paprocki, a obok, pod drzewem, Bekwark, lutnista, równie ciekawie poglądający ku środkowi obrazu i głównej grupie, otaczającej prymasa. Oprócz wymienionych tu głównych osób historycznych, znajduje się jeszcze wiele innych, składających całe towarzystwo, nadzwyczaj ożywione i wesołe. Beczka węgrzyna stoi na uboczu; z niej-to płyną strugi dobrego humoru. Wysoko wzniesione krążą puhary; wdali, pomiędzy drzewami, mniejsze grono zabawia się strzelaniem do celu; na huśtawce kołysze się trefniś i zerwane w górze jabłko, ów symbol rajskiej pokusy, rzuca pani Orzechowskiej. Na samym przodzie obrazu, siedząca na trawie dziewczynka, przesłiznięta dziecinnie, bawi się rozłożoną na kolanach dużą księgą z malowidłami, a stojący opodal nieco, oniewiele starszy chłopczyna, z palcatem w ręku, odwraca się od psa, przeszkadzającego mu się bawić swobodnie. Postaciami temi artysta urozmaicił i ożywił główną treść kompozycji.

Słowami niepodobna oddać wrażenia obrazu, przemawiającego bogactwem barw, jak niepodobna oddać harmonii tonów. Malarstwo i muzyka mają swój osobny język, pełen życia i wyrazu, z którym nie mierzyć się martwemu słowu pod prozaicznym piórem profanów naszego rzędu. Skoro obaczycie sami obraz, co wkrótce nastąpi, albowiem prosto ze Lwowa ma być przewieziony do Warszawy, osądźcie go na pierwszy rzut oka lepiej niż z ogólnikowego opisu. Wszakże pozwólcie parę jeszcze rzucić uwag.

Przepyszny jest koloryt obrazu, odznaczający się nadzwyczajną harmonią, wywierającą nader sympatyczne wrażenie. Drugą główną zaletą, jak wszystkich zresztą arcydzieł Matejki, jest wymowna charakterystyka wszystkich osób, mianowicie zaś historycznych, których w tem liczmem gronie znajduje się około dwudziestu. Głębokie wnikięcie w ducha każdej z nich, połączone z dokładną znajomością ich stanowiska dziejowego w społeczeństwie ówczesnem, wytworzyło te historyczno-typowe postacie. Któż na pierwszy rzut oka nie pozna Reya, którego rubasna a mądra fizyognomia tak żywo odbija od myślnego oblicza i przenikliwego wzroku Orzechowskiego? Trzy te postaci: Reya, Orzechowskiego i jego żony, utworzyłyby same przez się znakomity obraz rodzajowy, pełen typowego znaczenia, wymowny wybor nie schwyconym kontrastem. Podobnie każda ze znajdujących się tu osób tworzy typowy wizerunek, i mogłaby osobny obraz stanowić, poczynawszy od prymasa, co z pobłażliwie żartobliwym wyrazem przyjmuje przez dostojników Babina hołd mu oddawany, a skończywszy na starym szlachciuku, pełniącym służbę podczaszego. Te zalety obrazu przykuwają całą uwagę widza na pierwszym planie pełnem uroku wrażeniem, tak, że mniej już zważamy na szczegóły pomniejszej wagi użyte jako ozdoby na dalszych planach, mianowicie na cały ogrodowy krajobraz, któremu braknie głębi powietrznej. Ale Matejko jest malarzem historycznym, nie pejzażyzystą, i takim też znajdujemy go tutaj, podziwiając bogactwo kompozycji i potęgę pędzla. *Every inch a king*: mocarz prawdziwy.

Wystawa robót kobiecych zajęła szczególniejszy sferę niewieście, odznaczającą się zjawstwem i zamiłowaniem na tem polu. Każdy tutaj haft, każdy ścieg niemal znajdował swą krytykę, swe ocenienie u naszych pań, ciekawie rozpatrujących przedmioty, które są w znacznej części utworami zbytkownemi artystycznego kaprysu, dla przyjemności własnej, dla rozrywki wykonanemi. Obok tych wszakże robót zbytkownych, olśniewających częstokroć swym przepychem, zdumiewających pomysłowością, ozdobnością rysunku i barw doborę, a cierpliwością w wykonaniu, znajdujemy na wystawie obecnej wielką liczbę przedmiotów, mających na celu, nie samą rozrywkę i zaspokojenie

dniego, z postawy wyglądający na człowieka nawykłego do obcowania z panami. Starannie i z pewną wytwornością ubrany w fioletry, z łańcuchem na piersiach, z mankietkami koronkowemi, otaczającemi ręce bieluchne, ksiądz Riokur uśmiechał się i oczy przymrużał z wyrazem łagodności wielkiej, która dosyć niezręcznie przebiegłość bystrą ukrywała.

Za biskupem kilku ichmościów szlachty Województwa Brzeskiego czekali, aby księcia pana pozdrowić mogli, a za niemi pułkownik Szyling, w mundurze Wojska Radziwiłłowskiego, i dwóch officerów, wyprostowani, milczący, kryli się w cieniu. Tu także stał, pofrancuzku ubrany, doktor Dubiski i kilku ze starszyzny dworskiej, mającej zasiadę u szarego końca.

Książę, witając mrużeniem i ruchem ręki, przywłókł się do odznaczającego się swą formą krzesła, dla siebie przysposobionego, nad którego poręczą widna była wyrzeźbiona korona książęca. Obok drugie podobne krzesło, niższe cokolwiek, ustawione było dla chorążyn, przy której zasiadła krajczyna, a biskup Riokur przy gospodarzu.

Z obowiązku swojego duchowny króciuchną pocichu odmówił modlitewkę; przeżegnali się wszyscy i siedli. Chorąży, ze spuszczoną, obwisłą, jakby ciężką, głową, zajął swe miejsce i rozparł się na stole szeroko.

Oczy wszystkich współbiesiadników, nie wyjmując nikogo, skierowane były z pewną trwogą ku niemu. Milczenie panowało uroczyste.

Roznoszono polewkę.

Ani biskup, ani nikt z przytomnych, rozmowy zagać się nie ważył. Chorąży był w usposobieniu milczącym, co u niego zawsze prawie stan zdrowia niepomysłny zapowiadało, i doktor Dubiski, pilniej coraz twarzy jego nachmurzonej się przypatrywał.

Pocichuteńku parę słów szepnęła do sąsiadki księżna krajczyna, trwożliwie spoglądając w stronę księcia.

W kieliszki nalewano wino, i książę, który żarłocznie talerz polewki pochłoniął, pochwylił kieliszek, wypijając go duszkiem. Jakgdyby mu po nim sił przybyło, odetchnął, oczyma powłókł po zgromadzonych, i obrócił się do biskupa: ksiądz Riokur przyjął wejrzenie wdzięcznym uśmiechem.

— Zima tęga — odezwał się książę.

Na ten temat, łatwo się powszednia zawiązać już mogła rozmowa, nie drażniąca nikogo. Ksiądz Riokur opowiadał najpierw, co wróżył stuletni kalendarz i jako prawdopodobnem było, że tegoroczna zima, pod planetą nader surową i aspektami niebieskimi niemniej groźnemi, szczególniejszą mroźną i suchą być mogła.

Książę chorąży przypomniał zaraz, iż w tym roku, gdy brał Podczaszowstwo po Pocięu (nie wspominał nic szczęściem o rozwodzie z Sapieżanką) zima się też zrazu obiecywała bardzo groźnie, ajspełzła na gnilej.

Księżna krajczyna cieniuchnym głosem bolała nad tem, że podróże odbywać będzie musiała w najcięższe zapewne mrozy.

Doktor Dubiski zaręczał, że Styczeń przejdzie jakkolwiek, ale Luty dopiero pokaże, co umie.

Więc ksiądz biskup Ptolemaidę mówił dalej o miesiącu Lutym wogóle, że jest jednym z tych, które wszędzie najmocniej się dają weznaki.

Zajmująca ta rozmowa niemal całą wieczność przetrwała. Ks. chorąży dwa razy się rozśmiał, co poczytywanem było za nader pomysłny znak usposobienia, i dr. Dubiski przestał się trwożyć o jego zdrowie. Naostatek wieczera się skończyła; na znak dany ks. Riokur odmówił modlitewkę dziękczynną, równie cichą i krótką jak pierwsza, i od stołu się poruszono. Drzwi otwarte wiodły do wielkiej sali, w której po wieczery, chwilę jakąś, część towarzystwa zabawiać się była zwykła. Tu już na księcia czekał fotel wygodny i około niego ustawiono się kilka osób, przypuszczonych do bliższego oglądania oblicza pańskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

1) Nagłe zaślabnięcie nie pozwoliło Kraszewskiemu przybyć do Lwowa; wyręczył się poselstwem. Zostawiamy jednak wzmiankę o przygotowaniach do przyjęcia, aby zaznaczyć, że, jaki sama zapowiedź przyjazdu w Lwówianach obudziła. Kraszewski na się lepiej i jest nadzieja, że niedaleka już wiosna stała pokrzepi mu siły. Nestor literatury naszej powinienby zaprzestać walki z klimatem i na przyszłość porę zimową rok w rok przepędzać na Południu. (Przyp. Red.).

smaku i fantazyi artystycznej, ale istotne potrzeby powszedniego domowego użytku, jako to: mnogie roboty pończoszkowe wełniane, włóczkowe i niciane i t. p. Ta część wystawy zasługuje na większą od poprzedniej jeszcze uwagę z powodu, że świadczy o postępie przemysłu, zwróconego ku zaspakajaniu istotnych potrzeb i o pewnym stopniu cywilizacji społeczeństwa. temi potrzebami się objawiającego; podczas gdy tamte, zbyt wiele roboty po większej części nie mają celu praktycznego i są jedynie dowodem do wielkiego udoskonalenia posuniętej zręczności i estetycznego kaprysu, w rozmaitych przedstawiających się kształtach. Kto wszakże nie rad poprzestać na samym wrażeniu harmonii barw i wzorów wywołanem, lecz szuka raczej pożytku i w nim cel pracy upatruje, dlatego najbardziej zajmujące są, w osobnej pomieszczone sali *roboty włoczańskie domowe*, z wszystkich okolic kraju tutaj zgromadzone. Czego tylko w szczerym zakresie życia powszedniego potrzebować może chata włoczańska, to wszystko własnych rąk pracą tworzy się pod własną strzechą tradycyjnymi sposobami i według tradycyjnych wzorów wyrabiane, zwłaszcza w okolicach oddalonych od miast i miasteczek, mianowicie w górach i na Podgórzu, gdzie ludność uboższa jak w nizinach w ogóle i bardziej od świata wyosobniona, bardziej też samej sobie wystarczać, na własnej pracy polegać, własnymi rękami wszystkie potrzeby domowe zaopatrywać musi. Jakoż przemysł ów domowy włoczański najwięcej jest upowszechniony, najbardziej kwitnie w okolicach górskich na całym pasmie podkarpackiem. Kolejne żelazne i wzrastające taniej wyrobów fabrycznych, rugują z wolna ów przemysł zpod strzechy włoczańskiej. Kmiotek nasz z postępową zamożnością zaczyna się lubować w towarach fabrycznych, kupionych w miasteczku, a zarzucać to, co własnej wymagało pracy, co własnymi trzeba było wyrabiać rękami. Kupny fartuszek, koszula z cienkiego perkalu zda się bardziej do twarzy wiejskiej dziewczeczce, od płótna na domowym warsztacie wyrobionego i włóczkowego własnoręcznego haftu, zdobiącego koszulę. Kaprysy mody i tu się zakradają i wyglądają tradycje smaku rodzimego, tej, że tak powiem, omorosłej estetyki. Warto jednakże pielegnować ową pracę domową podaniem jej stosownego żywiołu, udoskonaleniem wzorów i zaopiekowaniem się nią troskliwym, albowiem, jak widzimy na wystawie obecnej, miałyby ona przy umiejętnym zaopiekowaniu się nią, znakomitą przyszłość przed sobą, a niektóre jej gałęzie, jak na przykład tkactwo, mogłyby się stać nawet znacznym źródłem dobrobytu ludności pewnych okolic, dostarczając towaru pokaźnego i w dobrym gatunku.

Z innego znów względu ciekawy przedstawia widok ostatnia sala wystawy, obejmująca roboty szkół żeńskich. Tu zajmującą jest rzeczą badać w genetycznym rozwoju cały systemat nauki robót ręcznych, przyjęty w szkołach tutejszych. Od niemowlęcych, że tak powiem, ściągów włóczkowych na grubej kanwie, postępuje nauka z postępowaniem klas, do coraz wyższego udoskonalenia w robotach wszelkiego rodzaju, potrzebnych kobiecie w życiu powszednim, gdzie igła i druty w rękę rządnej gospodyni tak wielką odgrywają rolę.

Czytelniczki „Bluszczy” miałyby mi może za złe, gdybym mówiąc o wystawie robót kobiecych poprzestał na powyższych kilku ogólnych uwagach, które mi się z jej powodu nasunęły. Nie chcąc zatem na gniew zasłużony się narażać, wymienię niektóre z cenniejszych robót znajdujących się na wystawie, aby dać bliższe nieco o niej wyobrażenie.

Pomiędzy robotami ozdobnie zbyt kownymi, do najpiękniejszych należy poduszka haftowana przez panią hr. Olizarową, w guście perskim. Piękność wzorów, dobór barw, tworzących bogatą a bardzo miłą dla oka harmonią, a przytem nadzwyczajną gładkość i dokładność haftu cechuje tę robotę. Najmłodniejsze, — a z natury rzeczy coś bardziej podlega właśnie kaprysom mody i zmiennemu smakowi, jeśli nie roboty kobiece? — otoż najmłodniejsze w obecnej chwili są roboty naszywkowe, nakładania, czyli zfrancuzka tak zwane *appliqués*. Jestto przeważnie dziś panujący kierunek w robotach zbyt kownych, i w tym też smaku znajduje

się ich najwięcej na wystawie. Wycięte wzory, nakłada się na aksamit, na jedwabne materye lub sukno i haftuje po wierzchu jedwabiami albo włóczką w najprzeróżniejsze wzory, najczęściej w guście wschodnim. Tureckie dyfityki, starożytne materye dostarczają wzoru i materyału do tego rodzaju robót. Uderzający pięknoscią jest w tym rodzaju dywan pani K. Stadnickiej z nakładaniem na suknie wzorów wyciętych z szalów tureckich. Haftowane wokoło arabeski czerwone i żółte odpowiadają tymże wzorom i tworzą całość nadzwyczaj harmonijną. W tym samym rodzaju, po większej części z nakładaniem z perskich i tureckich starych dyfityków, są roboty pani bar. Hejdlowej, których jest znaczna ilość w osobnej szafie. Osobną też szafę zajmują roboty panny Rybakówny, uczennicy szkoły wiedeńskiej. Są tu nakładania materyj jedwabnych na takich samych materyach innego koloru, z haftami dokoła nich, prześlicznie wykonanymi i bardzo harmonijnie dobrane. Naostatek, jako godne szczególnej uwagi, pozwolę sobie jeszcze wymienić nakładania na suknie panny Maryi Wierzbickiej. Z natury rzeczy, z właściwości materyału użytego do roboty haft na suknie nie może posiadać tej świetności i żywości barw, jak haft jedwabny na materyi jedwabnej. Przecież roboty tego rodzaju mają też swoje właściwe warunki piękności i również się podobają, winnym tylko sposobie. Bardzo piękny i o prawdziwie artystycznym świadczący poczuć jest tejsamej panny Wierzbickiej haft, kopia obrazu, przedstawiającego *Kozaka na koniu*. Jest to tylko kontur lekkim ściegiem czarnym rzucony na tło jedwabnym szamowem. Ścieg zaznacza główne linie cieniów, a całość wydaje się jakby rysunek piórem wprawna ręką artysty wykonany.

(Dokończenie nastąpi)

GNIAZDO HETMAŃSKIE

STUDYUM OBYCZAJOWE Z XVII WIEKU

przez

Maryana Dubieckiego.

(Dalszy ciąg).

Zabytki owoczesnego piśmiennictwa świadczą, jak troskliwą zwracano uwagę na rybne gospodarstwo. Olbracht Strumiński, rodem z Myślenic, z Województwa Krakowskiego, już w r. 1573 wydaje w Łazarzowej drukarni książeczkę objaśnioną rysunkami, w której mówi o urządzaniu stawów. Rzecz musiała być na czasie, gdyż o trzydzieści lat później Stanisław Strojnowski opracowuje nowe dziełko, w znacznej części oparte na pracy Strumińskiego, w którym rozwija teorią gospodarstwa rybnego. Wydał on je w roku naszego opowiadania, t. j. w r. 1609, a praca ta, wyborna na swój wiek, wnet była zakupioną tak dalece, że to pierwsze wydanie nieznanem jest obecnie, i w ciągu lat niespełna trzydziestu trzykrotnie powtarzano druk. Już sama trudność wynalezienia świadczy, jak poczytną rzeczą była, jak odpowiadała owoczesnym potrzebom, jak umysł owej doby wiele interesowała się tą gałęzią domowego gospodarstwa. W dobrach Koniecpolskich w każdej wiosce spotykamy staw większy lub mniejszy, a w ryby obfity; bo stawy te były dziełem gospodarskiej zapobiegliwości Wojewody Sieradzkiego, tak wiele przywiązującego znaczenia do gospodarstwa rybnego. Staw zaczęty niech kończą — pisze on — i drugie naprawują.... Tem stawy stoją — dodaje w innym miejscu — kiedy jest czem narzybiać....

Ryby uważały się podczas onych, i wcześniejszych nieco, lat za główny przysmak biesiadniczego stołu. Jan Kochanowski w wesołym wierszyku do jednego ze swych krewnych, wyliczając ob-

fitość produktów, które, połączone razem, mogłyby utworzyć ucztę nielada, wspomina tylko o winie i rybach. Czytamy tam:

Stanisławie! na Baryczy
Do tysiącać ryb nie zliczy,
A Sycyna nie bez wina....
Złącz oboje:
Wina twoje
Z dobrą naszą
Wina fiaszą....

Zarybianie stawów, żeby obfitymi owocami mogło się opłacić, umiejętnie przeprowadzano. Przed zalaniem i zarybieniem stawu dno jego makiem i rzepą zasiewano, i gdy kwiat maku wiązał się w owoc, wówczas dopiero wpuszczano wodę. Przy tych warunkach zarybiony staw miał na lat kilka pożywienie dla ryb, które w danym razie mnożyły się bardziej i smaczniejsze danie tworzyły.

Wszelkie wklęsłości i doliny na polach zamieniono na sadzawki i stawy, zarybiając je. Pisarz XVII wieku, W. S. Jeżowski, autor dziełka pod nap. „*Ekonomika albo porządek spraw ziemian*skich (1648 r.)“ wyraźnie powiada, że każda z domowych sadzawek była niejako uzupełnieniem spiżarni gospodyń wiejskich, iż czerpano z niej obficie pożywienie dla gości i domowych, bo, jak się wyraża W. S. Jeżowski:

O rybę zawsze łącno, gdy sadzawka w domu,
Ma dla swojej potrzeby, i dać może komu...

Pszczolnictwem, prowadzonym według obyczajów miejscowych, prastarych, trudniono się bardziej pilnie nawet, niż gospodarstwem rybnym, które już jest dziełem Epoki Jagiellońskiej, gdy tymczasem bartnictwo sięga czasów odwiecznych, piastowskich. Miód tak ceniono, iż w wieku XII płacono nim winy sądowe.

Pomniki żywe, świadczące o głębokiej starożytności bartnictwa u nas, przechowały się w całym szeregu bartniczych wyrazów, które nasz język posiada. Są to wyrazy czysto polskie, noszące na sobie znamiona epoki bardzo odległej, wymownie mówiące, że sztuka bartnicza rozwijała się u nas w kraju, że jest przemysłem naszym, rodzimym, że nie przysłała do nas od obcych.

Bartnictwo nasze rozwijało się głównie na Mazowszu, gdzie były większe niż w innych okolicach ziem czystopolskich lasy i puszcze. Tameczne bory olbrzymie służyły niejako za szkołę do rozwoju pszczolnictwa w innych częściach kraju. Sieradzkie mniej już dogodnym było polem do rozwoju tej gałęzi leśnego gospodarstwa, wszakże i tam ono rozwijało się. Alexander Koniecpolski zaleca swym spadkobiercom niezapominać o pszczolnictwie, którem w jego dobrach, nie tylko dwór, ale i wieśniacy bawili się, ci ostatni nawet bardzo pilnie.

Ruszczy i Czernice, położone w miejscowości bardziej leśnej, posiadały największą ilość pszczół. Mieściły się zaś one, nie w pasiekach, lecz, według obyczaju ówczesnego, w dzikich ostępach, w leśnych gąszczach, gdzie i czuwanie i kontrola nad niemi nadzwyczaj były utrudnione. Ztąd więc płynęły nadużycia, i barcie dworskie stawały się własnością włoczań. Dowiadujemy się o tem ze słów wojewody, który mówi: „Koło barci w Ruszczy, Czernicach czynić wielki dozór: może to przynieść wielki pożytek“. „Niechaj chłopci pokażą stare barcie dworskie, pobrali je sobie chłopci i więcej ich mają, niżli pan“. Miody, i napój tworzyły, i, wraz z woskiem, były przedmiotem handlu. Kiedy w XVI wieku chmiel domowej uprawy chętnie kupcy z miast większych nabywali od gospodyń naszych, kiedy szlachcianka średniej zamożności z Sandomierskiego, dwanaście naraz beczek malin Wisłą spławiała do miast dolnego Powiśla, a nawet aż do Gdańska, i ta operacja handlowa znaczny jej dochód przynosiła, nie podobna wątpić, że zbyt miodu i wosku przysparzać musiał „gęstego grosza“ do szkatuły ówczesnych gospodarzy...

Ochraniając barcie, ochraniano i lasy, które były polem łowów, a łowami bawiono się wówczas stale i na wielką skalę. Jeżeli łowy w one lata przestały być przemysłem, niemniej uważano

je, i za rycerską zabawę, i za źródło dochodu. Łosiowe skóry, futra, wielką ilość rozmaitego mięs, otrzymywano z owych zabaw rycerskich.

Na niewiele lat przed zgonem Alexandra Koniecpolskiego spotykają się wsie całe, które, jak się wyrażało owoczesne prawo, „na łowach siedzą”; t. j. mieszkańcy tych łowieckich wiosek nie płacili żadnych czynszów, nie składali danin, lecz jedyni mieli obowiązek brania udziału w łowach, dostarczania zwierzyny do obozów na czas potrzeb wojennych.

U Wojewody Sieradzkiego, który życiem swem całem należał do epoki ostatniego Jagiellona i Batorego, łowy prowadzone były według prastarych wzorów i obyczajów lat odległej przeszłości. Olbrzymie sieci, tak zwane „zwierzęce”, których używano przy wielkich obławach, stanowiły widać niemałą wagę spuszczoną, kiedy wojewoda w swych „napomnieniach” ostatnich zwraca na nie troskliwą uwagę.

Takich sieci Koniecpolscy posiadali dwadzieścia pięć sztuk, które złożone były w miejscowościach bardziej leśnych, a takimi znowu miejscowościami były te wojewodzińskie dobra, które ciągnęły się nad Widawką, nad Wiercicą i Wartą, jak n. p. Garnek, Cieszkowice i Dobryszce. Szczególniej pierwsza i ostatnia z tych miejscowości uważały się za punkta dogodne dla łowów. Dziś jeszcze Dobryszce posiadają z pięćdziesiąt włók lasu i zarośli na trzebieżach. Są to resztki owych puszczy, gdzie do rycerskich popisów zaprawiał swych synów na łowieckich zabawach Wojewoda Sieradzki, gdzie młodzieńcy Stanisław Koniecpolski, późniejszy hetman, na ostre gonił za zwierzem, póki nie nadeszły chwile potrzeb prawdziwych, chwile bojów i nadstawiania swych piersi na polu walk z wrogiem.

W miejscowościach, gdzie były owe „zwierzęce” sieci złożone, utrzymywano tak zwanych „śledników”, których obowiązkiem było podczas zimy rachowanie śladów grubego zwierza i składanie ścisłych sprawozdań o poruszeniach każdej sztuki wchodzącej do kniei lub z niej wychodzącej. „Ślednicy” tak bardzo w swe rzemiosło byli wprawni, iż ich raportów o poruszeniach zwierząt nigdy mylnymi nie mieniono. Owszem, zwiady i podjazdy przez nich dokonywane wszelką ścisłością odznaczały się i na nich opierano plany i obroty wielkich łowów. Rycerska ta zabawa tak dalece wypełniała część życia owoczesnych pisklat hetmańskiego gniazda, iż wojewoda w ostatniej nawet godzinie istnienia swego nie zapomniał przy najpoważniejszych sprawach o łowach rzec słów kilku i troszczyć się myślał o przyrzędach do nich potrzebnych.

Większe daleko niż z łowów dochody otrzymywano z licznych stad koni. Koniecpolscy posiadali zupełniejszą od innych możność hodowania znacznej ilości stadnin. Dobra przez nich posiadane w głębi Podola, w kierunku bardziej rozwartych a mało zaludnionych obszarów rozszerzone, ułatwiały tę możność hodowli w rozmiarach wielkich. Chowem bydła i koni od niepamiętnych wieków szlachta polska bawiła się. W tym też celu w wielu okolicach kraju, na Mazowszu n. p. do końca XVI w. i dłużej, pilnie przestrzegano, aby wsie miały pastwiska, tworzące własność wspólną, własność nieczyją. Obszary te, nigdy nieuprawiane, niekoszone, wybornem były polem dla chowu bydła, przeważnie zaś koni. Niektóre wsie piastowskiej epoki wyłącznie złożone były z osadników trudniących się pasterstwem. Ślad tych osad pasterskich do dziś przetrwał w nazwach wiosek, które podczas prastarej doby naszej przeszłości stanęły wśród owych pastwisk, obfitych w trawę, wśród bezpańskich pustkowi. Obory, Skotniki, Kobylniki, Koniuchy: są to nazwy przypominające wielki rozwój pasterstwa za owych dni piastowskich, gdy Polska była „polaną”, otoczoną lasami, gdy niewiele jeszcze roli wydarto w zaczynających się przetrzebiać kniejach, a uprawa na nowinach była tak bardzo małą, iż kraj raczej pasterskim, niż rolniczym, mógł się zwać.

Wojewoda Sieradzki, posiadając podolskie dobra i wciąż w stronę tę mając myśl i usiłowania zwrócone, by tam własność zabezpieczać i rozszerzać, niewiele troszczył się o znikające już nad

Wartą wspólne pastwiska. Naddniestrzańskie obszary dawały mu dość obszerne pole do chowu koni. Wspomina on z chlubą o tamecznych stadach końskich lubo i w Sieradzkim stajni i pastwiska Koniecpolskich roily się rozmaitemi końmi, to wierzchowcami, to cugowemi. Koń ówczesny był rzeczą bardzo cenną, chociaż zapewne nie był już tak rzadkim darem jak w wieku XIV, gdy królowie, umierając, legowali klasztorom i katedrom swe wierzchowce. Katedra gnieźnieńska, dwa takie konie, otrzymane na mocy testamentu króla Kazimierza W., przyjęła jako wspamiętały i drogi upominek monarszej pamięci, a jak go ceniła, świadczy o tem późniejsze zajęcie kapituły tejże katedry z rycerzami, którzy, łupieżczym średniowiecznym obyczajem, uprowadzili byli i zeczone konie. Arcybiskup kłatwą ukarał czyn ten, wcale nierycerski.

Jeśli w XIV wieku były jeszcze w Wielkopolsce duże obszary łąk, na których pasły się stada Kazimierza W., to już o parę wieków, i nieco później, tam było zacianio; na Podolu tylko i wgląd stepów, ku południo-wschodowi, spotykają się obszary zdolne wypasać większe stada.

Koniecpolscy byli w tej pozycji, iż łatwiej od innych mogli hodować duże stada, bo własność ich w kierunku rzeczonym rozrastała się. Wojewoda Sieradzki rozdarowuje przed śmiercią dużo cugów i wierzchowców, pewien, że po niej jakim czasie z łatwością te szczyby zapełnią się okazami braniami z licznych stad, szczególnie podolskich.

Włosi, od których czerpaliśmy wiele wzorów w ciągu całego XVI wieku, byli dla nas wybornymi mistrzami i w sztuce hodowania koni. Stajnie książąt i panów włoskich, wzorowo utrzymywane, wielokrotnie były zwiedzane przez naszą ówczesną we włoskich akademiach kształcąca się młodzież. — Dzieło Krzysztofa Dorostajskiego (*Hippika*), mówiące o umiejętnej hodowli koni (wydane w Krakowie 1603 r.), głównie opiera swe twierdzenia na studyach autora odbytych w stajniach włoskich. Zgromadził autor *Hippiki* na karty swej księgi wszystko, co kiedykolwiek o koniu i jego pielęgnowaniu mówili greccy, rzymscy i włoscy pisarze.

Jeśli jednak od Włochów uczyliśmy się wytwornego pielęgnowania koni, jeśli im zawdzięczamy umiejętne urządzenie stajni wzorowych; nie mieliśmy wszakże od nich koni, nie szły do nas konie z włoskiej ziemi: otrzymywaliśmy je ze Wschodu, posiadaliśmy własną rasę, o której powiada nam i Wojewoda Sieradzki, kładąc wielki nacisk na konie z Podola sprowadzane. W obronie kraju, w tej przedniejszej owych wieków rycerskiej trosce, koń stanowił główną podstawę działań, stając zawsze razem z człowiekiem w szranki owych zapasów. Dla tych ważnych celów obrony swej ziemi, dla ciągłego obcowania z sobą, gdy koń był towarzyszem życia, wiernym przyjacielem wśród przygód, nie wybierano go z ras obcych, ale używano wierzchowców własnego chowu.

W starem, hetmańskim, Koniecpolskich gnieździe lubowano się w koniach własnej, polskiej rasy. Wojewoda Sieradzki, rozdał synom wierzchowce, przeważnie daje im konie własnego chowu. Utrzymywano ich tam według miejscowego, dawnego obyczaju, nie słuchając mody, która w one lata zalecała malować konie, jak nakazywały wzory obce. Był czas, iż za Zygmunta III jaskrawymi barwy malowano konie wierzchowe i tak zwane „woźniki”, to jest cugowe. Biały koń n. p. malowany był na barwę żółtą. U wojewody nie spotykamy wcale owych malowanych koni. Względ rycerski, praktyczny, wykluczający wszelkie nowinki cudzoziemskiego obyczaju, był głównym przewodnikiem przy pielęgnowaniu stad Sieradzkiego Wojewody. Rzeczywisty pożytek a nie parady miał on na celu. Ten zmysł praktyczny, gospodarczy, zapobiegliwy przebiega się tu u niego również, jak we wszystkich gałęziach pracy domowej... „Koło stad mieć pilne opatrzenie i staranie — pisze on — mogą dzieci i do jazdy i do wozu koni niekupować i niemi przyjacielowi służyć: jedno się trzeba dojrzeć...”

Według tej praktycznej rady postępowano snadź, gdyż stada Koniecpolskich później wzrosły w ilości i do najpierwszych w kraju należały; ale to

już było w czasach znacznie późniejszych, kiedy ich majętności sięgały od jednego do drugiego krańca, jak twierdzono, w ostatnich latach XVII wieku można było dobrami Koniecpolskich Polskę całą przejechać od szlaskich granic do wód Sieniuchy i środkowego biegu rzeki Bohu, w południowych okolicach Bracławskiego Województwa na kończynach ziem uprawnych, na granicach „Pól Dzikich...”

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Pani Modrzejowska w rolach gościnnych na scenie Teatru Wielkiego. — *Dama treflowa*, komedia w 4 aktach, pana Kazimierza Zaleskiego.

Upały panują teraz w teatrze naszym. Przez dziesięć dni, niekiedy nawet dwarazy dziennie, zachwycaliśmy się Sarą Bernhardt, niezwykle istotnie zjawiskiem; od dwóch tygodni poddajemy się pod spokojniejsze, ale niemniej do panowania uprawnione, berło Heleny Modrzejowskiej.

Dwa lata temu żegnaliśmy znakomitość naszą, odjeżdżającą powtórnie na obczyznę, po laury — i to, co w laurach dla artystów scenicznych ukrywać się zwykło. Pani Modrzejowska odjeżdżała od nas z udoskonalonym, w stosunku do dawniejszej epoki artyzmem, ze wzmocnionym głosem, z siłą fizyczną, podwaliną niezbędną siły artystycznej. Taką ją widzieli Amerykanie, taką widzieliśmy ją i my u siebie, podczas pierwszych jej odwiedzin z zagranicy. Wielka pracowitość dozwoliła jej jeszcze później wykształcić się tak dalece w mowie angielskiej, szkaradzonej w Ameryce, że jej Anglii bez swego *shoking* słuchać mogli. W Londynie uznano talent i teraz już nazwisko Modrzejowskiej do historii sztuki powszechnej, kosmopolitycznej, nieodwołalnie weszło. Nareszcie, po dwuletniej nieobecności, wróciła artystka znowu pomiędzy swoich — gdzie podobno najtrudniej być prorokiem, ale najwdzięczniej żyć i pracować.

Nie dostrzegliśmy obecnie w artyzmie Modrzejowskiej żadnej zmiany. Sposób pojmowania ról taki sam, jak przedtem; taki sam styl: szlachetny, spokojny, uczuciowy, więcej tliwości niż siły posiadający; taki sam temperament artystyczny, indywidualnością temperamentu człowieczego owarunkowany, temperament niedość jednolity, nierówny, niedozwalający w zupełności utonąć w sztuce, ale wysnuwając ról jednym nieprzerwanym pismem; ale przytem temperament szczęśliwie ujarzmiony przez rozum i urobiony odpowiednio do wymagań każdej roli, przez wielką znajomość praw sztuki i umiejętność ich zastosowywania.

Tak, rozum i sztuka wiele dokazać mogą, ale nie zmieniają tego prawa, że jeżeli artysta nie ma należytej równości i siły w temperamentie swoim, to i jego wytwory nie będą miały w sobie doskonałego życia, pomimo wszystkich wysiłen i całej umiejętności na niełożonej. Gdyby p. Modrzejowska posiadała taką niezłomną potęgę temperamentu, jakiej dla doskonałej siły życia potrzeba, gdyby talentem jej wlaśną ów demon, któremu sztuka i poezja nieśmiertelne swe dzieła zawdzięcza: mało byłoby w świecie artystek zmierzyć się z nią zdolnych, a pamięć jej w rzędzie najpierwszych z zaćmiewającym jaśniałaby blaskiem. Tak wszakże nie jest, i przyjmujemy z uznaniem to, co mamy, a mamy bardzo wiele. Każde wystąpienie Modrzejowskiej darzy umysł szeregim wrażen szlachetnych, wyższej tylko sztuce właściwych.

Zmian tedy w artyzmie niema; jest on tak, jak był, doskonałym. Dostrzegliśmy tylko zmianę w głosie — zmianę niekorzystną. Głos zesłabł od czasu ostatnich odwiedzin; dotego jeszcze chwilowo nieusposobienie pozbawiało go właściwego mu brzmienia; i niekiedy drgała w nim nienaturalność, sztuczność, jak gdyby ton z niewłaściwego rejestru wzięty i tylko mozolnie wdzierający się na poziom tego charakteru, jaki wypowiedane myśli posiadać musiały. Zmieniła się i twarz artystki:

nabrała pełności, ale nie stała się piękniejszą: przeciwnie, zesłabł w niej ten urok, którym dawniej ze sceny tak bezwzględnie czarowała widza. Trudno! Człowiek swoje—czas swoje.

Artystka wystąpiła dotychczas w dawniejszych swych rolach w: *Angelo W. Hugo*, w *Maryi Stuart* Schillera, w *Damie z kamelią*, w *Adryannie Lecouvreur*, i w nowej: *Damie treflowej*. O dawniejszych nie mamy tu nic do powiedzenia, o nowej — słów kilka.

Przedewszystkiem dziwi nas to, że p. Modrzejowska wybrała sobie rolę tak niewdzięczną, nie artystyczną, jak Zofia. Na taką rolę szkoda jej sił i talentu, jak szkoda również sił i talentu Żółkowskiego na archeologa Łaziewicza. Artystka była jakby skrepowana, nie umiała się ruszać, nie wiedziała z jakiego tonu rolę wziąć, jak się w otoczeniu swoim, nad wszelki wyraz ubogiem, znaleźć, jak wybrnąć z zadania, które kazało dramatyzować rzecz niedramatycznie napisaną i zostawiło swobodę ruchów tylko na krótką chwilę melodramatu w komedii. To też widz czuł niestowność takiej artystki dla takiej sztuki, widział to w grze Modrzejowskiej, jakby przymusem jakimś napiętnowanej. W drugim akcie niezmierną powolność w wysłowieniu i cedzenie wyrazów przykre sprawiły wrażenie. W akcie III dopiero rozprawa z Krzewskim ukazała nam artystkę Modrzejowskiej w jego prawdziwym natężeniu i charakterze. Gdyby nie ta scena i nie tak dobre odegranie jej, wyszlibyśmy z teatru bez jednego dodatniego wrażenia. W akcie IV autor nie pozwolił artystce niczem się odznaczyć.

Dama treflowa — uosobienie nieszczęścia — nie umiała się stać dość zajmującą. Zapomniała widocznie o tem, że z wyjątkiem jednego, każdy rodzaj sztuki dobrym być może. Rodzaj *Damy treflowej* jest nudnym, a podział rodzaju, gatunek literacki, dość nieokreślonym. Ma to być komedia, ale w niej dramatu poważnego w pojedynczych pomysłach więcej niż komedii; w *pomysłach*, mówimy, bo w przeprowadzeniu ani dramatyczności, ani komiczności rzeczywistej niema. Charakterów! charakterów! nie przestaje wołać krytyka na p. Zalewskiego; tymczasem p. Zalewski daje ciągle tylko efekta i efekta — sceny, które jemu samemu wrażliwemu się wydają, pewne szczególne stonki towarzyskie, które on sam za żywotne, ogólnie zajmujące, uważa. Gdzie niema charakterów, tam niema sztuki dramatycznej, bo nie może być i dramatyczności.

Komedia nie wyszła z jednego pomysłu, ale ich kilka w sobie zamyka: są i tu lokaje naigrawający się ze swoich państwa, i goście psy wieszający na gospodarzu, i Niemiec namawiający szlachcica do przedsięwzięcia przemysłowych, a pożyczający synkowi jego pieniędzy na weksle fałszywe, i adwokat odsadzający swego klienta od panny, i para dawnych kochanków spotykających się na to, aby sobie wyciąć *verba veritatis*, i mąż ulegający jak pantofel swej żonie, miękki jak wosk wobec szkodliwego Niemca, ale hardy wobec nieszkodliwej całkiem Damy Treflowej: wszystko to luźne, wiążące się z sobą tylko mechanicznie, pozbawione związku przez charaktery, przez psychiczną treść ich i logikę. Pomysł wyzyskiwania przez Niemca przypomnia jaskrawo sztuce samego p. Zalewskiego *Z postępek*. Ostatecznie *Dama treflowa* sprawia wrażenie czegoś pozszywanego ze strzępków, czegoś, co chce się ruszać a nie może, dla tej prostej przyczyny nie może, iż życia w sobie nie ma. Uszczupliwość znajdująca się w dawniejszych utworach p. Zalewskiego i w tym, nowo-przedstawionym, ożywia niejedno miejsce dialogu, ale nie podnosi sztuki. Kardynalnego jej warunku brakuje: charakterów.

Tam, gdzie sam autor nie wie, jakimi są ludzie w jego komedii, trudno, aby krytyk i widz mógł sobie charaktery ich ująć i określić. O Józii, któremu setki podobnych, jakby z gotowej formy powycinanych, przesunęły się przez nasze i nasze sceny, mamy jasne wyobrażenie, bo nam je aż nadto rozjaśniają fałszowane weksle; ale co trzymać o jego siostrze Janinie, o młodej panience, która ojcemu swemu z największym spokojem mówi o „Adeli“ Józii, a potem waha się między powozami, willą, zabawkami — a miłością i wreszcie, niewiadomo z jak, w akcie IV występuje jak

natura najbardziej uczuciowa? Sama Dama Treflowa nie jest wcale taką, jaką ją chciał mieć autor: nie jest ona, ani roznosicielką, ani zwiastunką lub sprawczynią złego: nie jej to wina, że się był rodzinny i majątkowy p. Tertuliana zachwiał, ale jego samego i cnej jego magnifiki. Zofia jest dla nich tylko kozłem ofiarnym; p. Tertulian, czyniąc jej wymówki, rzuca cześć słowa na wiatr. Bez wątpienia: pani Zofia niewłaściwą obrała sobie drogę, wyszedłszy bez uczucia za starca milionera, ale tem największą samej sobie wyrządziła krzywdę, a wpływu jej szkodliwego na Janinę nawet przez mikroskop nie moglibyśmy się dopatrzeć.

Dama treflowa swoją rzeczywistą wartością jako dramat nie przewyższa dawniej już na tem miejscu ocenionych sztuk p. Zalewskiego; a nawet przez rozproszenie się swoje niżej od nich stoi. Wyższość przyznać jej potrzeba tylko ze względu na szlachetniejszy nastrój, większą wybredność w doborze obyczajów i humor powściągliwszy. Jest to sztuka, jak się mówi, *przyzwolita*. I ludzie i obyczaje lepszego tu są gatunku, niż w *Złem ziarnie*, *Przed ślubem*, lub *Artykule 267*.

Wszystkie sztuki p. Zalewskiego są zanałto *literackimi*: za mało w nich jest bezpośredniego dostrzegania *życia i człowieka*, zawiele literackiego kunsztu. Gładkość, zręczność, sceniczność: wszystko to przymioty niezbędne, ale pierwszej potrzeba patrzeć i widzieć: patrzeć w nieskończoność kształtów i postaci człowieczeństwa, widzieć w nich wspólną wszystkich pięknotwórców własność — skarb, którego sztuka największych nawet geniuszów nigdy nie wyczerpie, bez którego największa nawet genialność marnieje i przepada. Sztukę stanowi dopiero człowiek, to jest talent, dodany do natury. Dramatycznego talentu swego p. Zalewski dowieść jeszcze musi.

S. K.

RUCH MUZYCZNY.

Warszawskie Towarzystwo Muzyczne rozpoczęło swój tegoroczny sezon pod sztandarem a raczej *pod flagą*, Stanisława Barcewicza, który świeżo przypłynawszy z tryumfalnej podróży po Szwecyi i Norwegii, wpadł do Warszawy na parę tygodni, i znów w dalszą przez Drezno puścił się drogę. Młody nasz przyszły mistrz jest obecnie w epoce ciągłego i szybkiego rozwoju, a przy każdym jego nowym występie z coraz większem o nim możemy pisać uznaniem. Ton jego jest dziś tak potężny, że zapewne nie ma sobie równego w Europie; nawet akkompaniament orkiestry bynajmniej nie jest w możności go zagłuszyć. Oprócz tego expressya się rozwija coraz wyraźniej, tak, że oprócz podziwu i coraz większa sympatya rodzi się w duszy słuchacza. Mechanizm wysoko jest posunięty, lubo i pod tym względem postęp duży artysta niezawodnie uczyni. Mimo wybornego pokonywania największych trudności, nie jestto jeszcze owo mistrzowskie i granie z niemi, jakie widzimy u Sarrasate'go i Sauret'a; a to właśnie idealne ovladnięcie mechanizmem daje dopiero owę czarodziejską moc unoszenia słuchacza w wyższe sfery, gdzie ginie poczucie materii a pozostaje tylko wrażenie odniesione przez ducha. Artysta tym razem wykonywał koncert *Vieuxtemps'a*, dzieło dramatycznie i efektownie napisane, lubo nie tak piękne, jak dawniejsze tego kompozytora utwory. Jest ono już jednym z ostatnich w chronologicznym porządku.

W kilkakrotnych występach skrzypka Sauret'a, mieliśmy sposobność poznania jednej z pierwszorzędnych znakomitości, godnej zająć miejsce obok Sarrasatego i Joachima. Czarodziejskiego smyczka Sarrasatego nikt wprawdzie nie posiada, ale Sauret posiada zato w grze więcej miękkości i uwydatnia wielce szlachetny i żywy temperament. Mechanizm pokonywa w sposób najwyższy, t. j. że przy grze jego o tej stronie materyalnej już się nie mówi. Stojąc na takiej wyżynie, imponuje on tłumom, góruje nad niemi.... Lecz cóż mówić? wyrzekłem podobno wyraz: „tłumi!“ Niestety,

puszki przerażające i najzupełniej niezasłużone, świeciły na wszystkich koncertach artysty, któremu garstka obecnych swoim frenetycznym zapalem starała się doznany zawód osłodzić. Prawda, na usprawiedliwienie nasze możemy przytoczyć ten fakt, że Sauret przybył tu właśnie na trzy dni przed katastrofą Świętokrzyską i późniejszymi wypadkami tak smutnej pamięci. Koncert jego pierwszy, zapowiedziany na trzeci dzień Świąt Bożego Narodzenia, musiał być odłożonym na dni kilka, a dochód z niego zamiast do kieszeni artysty, został przeznaczonym na cel szlachetny, na który wszyscy wówczas się składali... Ale i cel nie pomógł, ogólne przygnębienie było tak silnem, że mało stosunkowo osób znalazło się w Teatrze. Potem jeszcze Sauret grał dwa razy, i raz w Klubie Ruskim, lecz podobno i tam nie był szczęśliwszym. Słyszeliśmy zpod jego smyczka *Koncerta Brucha* (I-szy), *Mendelssohna*, oraz niewdzięczny *Koncert Gernsheim'a*, dzieło ciężkie i zawile, którego grywanie publiczne usprawiedliwić tylko może uczucie osobiste przyjaźni, obu artystów podobno łączące. Między innymi Sauret grał słicznie *Poloneza Vieuxtemps'a* i.... *Mazurki* Wieniawskiego. W Polonezie niemasz może tak ściśle narodowego charakteru, utwór ten wkracza już bardziej w formy salonowo-kosmopolityczne; ale *Mazurki* tak są czysto-polskie, rytm ich, kapryśny i wdzięczny, tak trudny do uchwycenia dla cudzoziemca, że się z rozkosznym podziwem słuchało, jak znakomicie go pojął mistrz, jak swobodnie się poruszał w tych ruchliwych zmianach ciągłego rubato. Dotąd nikt, nawet Sarrasate, tak pięknie nie grał tych *Mazurków*. W Tańcach hiszpańskich zato Sauret Sarrasatemu nie dorównał.

Powracając do Towarzystwa Muzycznego, zaznaczyć musimy, jako ozdobę jednego z dalszych wieczorów, współdział p. Alexandra Michałowskiego. Świetny ten fortepianista, rzecz można, ciągle jeszcze potęguje grę swoją. Jego technika i wynikająca z niej bujność nie mają sobie równych, a lubo pod względem duchowym mniej gra jego zawiera intencyj głębokich, każde jednak dzieło przezeń zagrane nosi charakter poważny i zajmujący, a wielu szczegółami porywa. Prawdziwa to rozkosz dla publiczności mieć przed sobą tak dzielnego, sympatycznego fortepianistę, grającego zwykłe tak dużo i tak uprzejmie skłaniającego się ku wszelkim bis-om, tak u nas nadużywanym, gdy idzie o lubianą osobistość. Poczciwy ten zkadłinad zapal publiczności dla „gwiazd“ staje się czasem prawdziwym natręctwem, zmuszając, i tak już umęczonego swą pracą, artystę do ciągłego wychodzenia i kłaniania się, a często gęsto do produkcyi nadprogramowej, granej nie zawsze chętnie, a więc i nie tak dobrze jak sobie artysta życzył, a publiczność spodziewać się miała prawo. Tym razem p. Michałowski ograniczył się na drobniactwach, zagranych „na odczepnego“ i słusznie uczynił, w żądaniu bowiem tylokrotniej gry nad programmat z pewnością jest i odcień lekkceważenia, który usunąć należy.

Panna Łazarowicz, wyborna już fortepianistka, zyskała sobie aplauz ogólny odegraniem na jednym z wieczorów koncertu Es-dur Beethovena, oraz walcu Webera-Tausiga, który wprawdzie jest profanacją, jako przeróbka, ale dla przeciętnej publiczności przedstawia się jako dzieło wielce efektowne. Panna Łazarowicz zbyt jest młoda, aby zdobyć sobie mogła jakąś już wyższą samodzielność, ale grała koncert Beethovena we właściwym stylu i dała dowód, że jej talent pięknie się rozwija.

Losy dalsze Towarzystwa Muzycznego zapewne na Zebraniu Ogólnem, w bieżącym miesiącu rozstrzygać się będą, i powinny nareszcie zainteresować, jeśli nie ogół publiczności, to przynajmniej członków tej Instytucyi, słaby w tej mierze okazujących interes. Ponieważ wszelkie projekta dożadnego ratunku okazały się jak dotąd bezskutecznymi, i stan finansowy Towarzystwa coraz bardziej chyli się do upadku, najprawdopodobniej będzie ta Instytucja musiała opuścić zbyt kosztowny dla siebie lokal, zajmowany w Resursie Obywatelskiej i nająć skromny i niedrogi lokal na próby, a wynajmować salę na swe wieczory, zapewne w tej samej Resursie. — Dziwna, że dotąd

żaden z pp. kapitalistów nie zdecydował się zryzykować swych funduszy na wybudowanie domu, mieszczącego wielką salę koncertową i mogącego ewentualnie służyć za pomieszczenie Towarzystwu Muzycznemu. Budynek taki, oile dość prawdopodobne obliczenia przypuszczać dozwalały, mógłby nawet właścicielowi dać procent, niewielki wprawdzie, ale przyzwoity, a kto wie, czy by i nie był uratował sytuacji towarzystwa, które by wówczas z pewnością wielu zyskało członków, zwabionych urokiem nowości. Teraz obietnica udzielania bezpłatnych wejść do Doliny Szwajcarskiej członkom, bynajmniej przynętą dla publiczności nie była. Przewidywalismy to od początku, lubo milczeliśmy, nie chcąc sprawie szkodzić. Rozumowanie, jakie sobie w tej mierze robiła publiczność, musiało być mniej więcej następujące: „Obiecują nam dać darmo dolinę, ale tylko wtedy, gdy liczba członków dojdzie do 1,200. Ponieważ obecnie mamy członków 600, więc mało jest podobieństwa, aby tak dużo przybyło: to i pocóż na próżno się zapisywać?” Jakoż liczba członków przed Nowym Rokiem nie doszła do 700, a i teraz, wnosząc po dotychczasowej opłacie, liczby tej nie przekroczy. Co wobec tego faktu uczyni Komitet? Czy owym 700 członkom dać wejście do Doliny, czy im każe pokutować za winy tych, co się po nich nie wpisali i odbierze im to prawo? a jeśli z nich niektórzy oświadczą, że dlatego się wpisali do Towarzystwa, aby z Doliny korzystać?

W Teatrze ważna zaszła zmiana wskutek dymissji dyrektora Trombiniego. Dzielnym to był i zdolnym dyrektorem, a lubo w stosunku do innych urzędników za wysoko płatny, wciąż jednak swej kilkoletniej działalności, wiele dobrego zrobił, i jeśli się do swej posady nie wróci, zostawi po sobie przynajmniej dobre wspomnienie. Jedną chwilą osobistego nieporozumienia skłoniła pana Trombiniego do zażądania dymissji, udzielonej mu, niestety, zbyt skwapliwie; a jakkolwiek byłoby pożądanem, aby się ta rzecz naprawiła — nie można nic twierdzić z pewnością. — Pani Jakowicka kilkoma gościnnymi występami dowiodła, że głos jej jeszcze dopisuje; byłoby jednak pożądanem, aby znakomita śpiewaczka zaniechała już kariery scenicznej (w której np. w roli Małgorzaty w *Fauście*, mało sprawia illuzji), i poświęciła się koncertom i kształceniu młodych talentów. *Przegląd Tygodniowy* umieścił w tych czasach wyborny artykuł o potrzebie założenia szkoły śpiewu przy Teatrze, którą mogła dostarczać artystów dla sceny odpowiednio przygotowanych. Powtórzyliśmy ten artykuł w *Echu Muzycznym* i gorąco pragniemy, aby na czele takiej szkoły, gdyby założoną być mogła, stanął któryś z pierwszorzędnych profesorów, znanych w świecie muzycznym. Zapewne, że byłoby najlepiej sprowadzić młodego Lamperti'ego; lecz, przypuszciliśmy, że ta rzecz byłaby zatrudna, w takim razie najodpowiedniejszym dyrektorem byłaby właśnie pani Friderici-Jakowicka. Jak Lamperti głosi stawił, mieliśmy dowód na występie panny Eweliny Syrwidówny, który niedawno w Wielkim Teatrze miał miejsce. Panna Syrwidówna wbrew powszechnym oczekiwaniom ogółu, okazała się jeszcze jako artystka nie dość wyrobiona; ale pod względem samej szkoły dowiodła, że jest uczennicą prowadzoną znakomicie. Głos czysty i niewymuszony, oparty całkiem na oddechu, bez żadnego ściskania gardła, zatem dzwięczny i miły dla ucha, skala równa. Być może, iż dalsze występy ośmiela artystkę i pozwolią bardziej rozwinąć swą indywidualność, dotąd zarysowującą się dość niewyraźnie — i dziś jednak zaprzeczycie niepodobna, że w recytatiwach i kilku pojedynczych momentach przebiegało się uczucie.

Oprócz tych kilku faktów, na niwie naszej muzycznej cicho i głucho. Koncerty stały się dziś rzadkością i tylko bardzo wyjątkowe osobistości mogą się na nie odważyć, bez uprzednich przygotowań i zabiegów. Taki koncert, jak przeszłotygodniowy na rzecz Studentów Puławskich, stanowi wyjątek, gdyż dobroczynne koncerty zawsze się udają; poczciwi artyści zwykle nie odmawiają w nich swego współudziału zagrażając sobie drogę do materyalnych korzyści ze swego talentu odnieść

się mogących, i nie otrzymując za to nic, prócz moralnej satysfakcji i to nie wolnej od pewnej gorzoty — bo któż takie poświęcenie robi zupełnie chętnie?... Na niwie wydawniczej, prócz wydawnictw *Echa Muzycznego*, o których pisać nie wypada nam za często — zjawiała się piękna nowość. Jest nią *Suita*, na same skrzypce, utworu Władysława Górskiego, — dzieło poważnie i szlachetnie napisane. Jako dobre na karnawał polecamy tańce F. Hermann, wydane w Wilnie; niektóre z nich zrobione są z tematów Moniuszki. Szkoda, że autor zamilował szczególniej tonacye zbyt trudne, pisząc swoje tańce z 5 i 6 bemolami.

W Teatrze Małym grają operetkę: *Dzwony z Kornewillu*, ze śliczną muzyką Planquette'a.

Jan Kleczyński.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Lwowskie Muzeum Przemysłu wydało zeszyt drugi (serya III i IV) wzorów przemysłu domowego. Są to wzory dywanów i kilimków, tkanych po chatach wieśniaczych Ludu Rusińskiego, a zachowujących „tak w technice, jak ornamentyce swojej” wszystkie cechy cenionych wielce kobierców wschodnich. Odwieczne stosunki nasze handlowe i polityczne ze Wschodem zaszczyliły nam ten przemysł, niegdyś wysoce rozwinięty i dostarczający w znacznej części wyrobów swoim domom szlachty i mieszczaństwa zamożnych pod postacią kobierców, makat, opon i kilimków, których użycie było w przeszłości, nietylko naszej, niezmiernie rozpowszechnione. Zabytki starożytnego naszego kobernictwa przechowywały się dotąd po dworach pańskich i kościołach. Gobelin, pochodzący z fabryki braci Mażarskich w Słucku wzbudzał ogólne uwielbienie znawców na ostatniej Wystawie Paryskiej. Tkano u nas kobierce już w wieku XV (fabryka w Sochaczewie). Wzory naszego kobernictwa ludowego, stanowiącego podziśnięcie na Rusi przemysł domowy, zebrane w liczbie 38 i zestawione z naczelniarstwem członka zarządu Muzeum Lwowskiego, p. Ludwika Wierzbickiego, są zdjęte z kilimków hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, oraz z dywanów i kilimków zgromadzonych z różnych stron kraju przez obywatelską gorliwość prof. Szuchewicza i powinny budzić wyższy interes kobiety naszej, jako okazy przemysłu domowego, który w rozwoju swoim dotyczy niezmiernie pracy kobiecej. Wzorów tych jest tablic 22; naśladują one zadziwiająco styl wschodni i powiedzieć można, że odtwarzają desenie dywanów perskich; różnica zachodzi głównie w kolorach. Niektóre z nich są nawet bardzo piękne i służyć mogą za wzory domowego przemysłu pań naszych. Rysowały je dla wydawnictwa uczennice Muzeum, m. p. Helena Komorowska, Wł. Gostyńska, St. Pawulska. Podpis czwarty, znajdujący się na tablicach: „T. Peschinger” nie objaśnia nas czy należy do kobiety.

Malarnia na szkło i porcelanie p. Jozefy Zdżarskiej, niegdyś przełożonej pensji żeńskiej, otwartą została przy ulicy Marszałkowskiej pod Nr. 69. Poświęcenia zakładu dokonał ks. Kazimierz Ruszkiewicz, regens seminarium w przeszły czwartek, to jest d. 2 Lutego.

Warunki konkursu dramatycznego, który księżna Zuzanna Czartoryska wraz z p. St. Koźmianem ustanowiła z powodu dwóchsetnej rocznicy oswożenia Wiednia przez Sobieskiego (1683) są następujące: 1) Utwór sceniczny, osnuty na tle dziejów Jana Sobieskiego, a obejmujący odsiecz daną przezeń Wiedniowi, uznany przez komisję konkursową za najlepszy, otrzyma nagrody 500 zł. reń, 2) Utwór ma być pisany w rodzaju sztuk ludowych i mieć najmniej odsłon pięć. 3) Rękopismo powinno być odesłane najdalej do dnia 1-go Września 1882 r. pod adresem: „Kancelarya teatru krakowskiego, gmach teatralny, 2-gie piętro. 4) Ubiegać się mogą o nagrodę jedynie utwory nie-grane i nie-ogłaszane drukiem. 5) Utwór na-

grodzony ma być najpierw grany na scenie Teatru Krakowskiego, najpóźniej d. 12 Września 1883 r., poczem Teatr Krakowski traci prawo pierwszeństwa. 6) Do komisji konkursowej zaproszeni zostaną p. p.: Adam Asnyk, ks. Marcei Czartoryski, prof. Kazm. Morawski, Walerj Rzewuski, Kaz. Skrzyński, Mieczysław Pawlikowski, Jan Zacharyasiewicz, Karol Estreicher, Antoni Kłobukowski, Stan. Koźmian. Komisja wyda sąd swój najpóźniej d. 1 Listopada 1882 roku.

Baronowa Ida Marenholz, gorliwa krzewicielka pedagogicznej doktryny Fröbla, założyła w Dreźnie, obok utrzymywanej tam przez siebie oddawna ochronki fröblowskiej, inaczey *Ogródka dziecięcego, Ogródek szkolny* (Schulgarten), a mający być względem ochronki fröblowskiej zakładem stopnia drugiego, bo tu już nie dzieci w wieku przedszkolnym, ale właśnie ze szkół elementarnych kształcić się mają dalej w kierunku ochronek fröblowskich, przepędzając w *Schulgarten* cztery razy na tydzień półtrzęciej godziny czasu, zbываяcego im od nauki szkolnej. Zajęciami owych godzin są: gry gimnastyczne, śpiew, ogrodnictwo kwiatowe, dalej rysunek, modelowanie, wycinanie, klejenie i t. d., udzielane według metody Fröbla. Założycielka chce tym sposobem rozwijać w dzieciach zamiłowanie artystyczne i zręczność do robot ręcznych, w których to kierunkach szkoła elementarna nie dla dziecka nie czyni i, zaniedbując je, wielu zdolnościom naturalnym należyj pomocy nie daje. Jest też to pragnieniem założycielki, aby nowa instytucja, rozwinąwszy się i rozpowszecznawszy, została przyłączoną do elementarnych szkółek gminnych, uzupełniając je.

Włoskie ministerium oświaty ustanowiło dwie komisje do przejrzania książek szkolnych, pod wielu względami wadliwych. Spekulacja nieuczciwa dopuściła wiele podręczników tak nieudolnych i źle pisanych, że tylko szkodę nauce przynieść mogą, ale rzeczą szczególnie tu ważną jest przejrzanie książek przepisanych na szkoły dziewcząt, i dziennik włoski *Bersagliere* poświęca temu przedmiotowi długi artykuł, dowodząc, jak wielkim złem jest to, że w imię niby postępu i nauk przyrodniczych, dziewczęta wiaz z resztą uczącej się młodzie, spotykają się w szkole z takimi szczegółami, których nie godzi się umysłem młodym przedstawiać dla względów bardzo ważnych. Prócz *Bersagliere*, dziennika, który nie może być pomówionym o wsteczniectwo, podnosi głos w tym samym przedmiocie *Gazetta del popolo*, czyniąc uwagę, że zapewne komisje działające nie ulegną się krzyków pewnych osób, czy partyj, które wobec kwestyi wychowania, głosu mieć nie mogą, i żadne poboczne względy zaważyć tu na szali nie powinny.

Niemiecka podróżniczka, Klaryssa Lohde, podaje ciekawe szczegóły o moralnem i materyalnem położeniu kobiet greckich. Najpierwszą uwagę, którą czyni, jest ta, że nie znalazła między niemi tej klasycznej piękności, jakiej prototyp został nam przekazany przez szkołę grecką. Megara i niektóre jeszcze pojedyncze miejsca kraju stanowią szczęśliwe wyjątki, przecieź w Atenach rzadko spotkać piękną kobietę, chociaż tu klasyczne linie głowy zachowały się w większej, niż gdzieindziej czystości, ale tusza, której nabierają kobiety ateńskie, zaraz po wyjściu z lat dziewczęcych, i tworzenie się podbródka, szpeci je prędko i odbiera im tę szlachetność postaci i wyrazu, która właściwie była niegdyś własnością kobiety greckiej. Bezczytność i brak rozbudzenia umysłowego wpływa na to. Greczynki są wogóle bardzo mało wykształcone i bezmyślne; nawet gospodarstwo domowe polega głównie na mężu i służbie męskiej, bo kobiet służących niema tu prawie, a te, które się wyjątkowo na ten los zgodzą, są bardzo niepracowite i każą sobie trudy swoje bardzo drogo opłacać. Oprócz wysokich stosunkowo zasług pięćdziesięciu do sześćdziesięciu drachm (35 do 45 franków) miesięcznie, trzeba im dostarczać przez cały czas całkowitego ubrania, bo zwykle przybывая na służbę ledwo okryte, bez żadnej pościeli i bielizny. W hotelach i żadnych tym podobnych domach, służby kobiecej wcale niema, ale tu działa głównie surowość pod względem obyczajów. Właściwie Greczynki bywają tylko pię-

stunkami i tej służbie poświęcają się z przejęciem, albowiem uczucia rodzinne, szczególnie miłość dzieci, jest w Grecyi wielką. Zato małżeństwo zawiera się jak spekulacja, posag panny gra tu rolę główną; że przecież nietylko stan starej panny jest uważany jako coś wysoce upakarzającego, ale przynosi to nawet ujmę rodzinie, gdy córka za mąż nie wyjdzie, dziewczęta uważane są w domu na ciężar tak wielki, że syn prawie nie może znaleźć sobie żony, póki siostry, których utrzymanie po śmierci rodziców na niego spada, za mąż nie wyjdą.

Nieudolność i niepracowitość kobiet greckich jest tego przyczyną. Pragnąc też smutne to położenie zmienić, ludzie dobrej woli usiłują rozbudzić w Greczynkach chęć pracy i większej samodzielności. W Atenach wzniesiono w tym celu dwie instytucje „Arsakion“ zakład naukowy dla dziewcząt, klas wyższych, i szkołę fachową, połączoną z pracownią robót kobiecych, gdzie chcąc tego, znaleźć mogą zarobek w rozmaitych kierunkach prac ręcznych. Nauka jest tu udzielana darmo, lub za bardzo małą opłatą, a rząd, prócz zapomogi, daje zakładowi pomieszczenie. Właśnie kilka miesięcy temu miasto Ateny przeznaczyło na ten cel obszerny i wygodny budynek, który podróżniczka niemiecka zwiedzała i widziała tam kilkadziesiąt dziewcząt, zajętych tkaniem jedwabnych i bawełnianych materyj w krosnach, a także dywanów, również w krosnach wykonywanych. Szyją tam również bieliznę, haftują i wyrabiają bardzo piękne, rozmaitych gatunków, koronki je dwabne i złote. Skoro tylko uczennica choć cokolwiek potrafi wykonać na własną rękę, wyznaczają jej natychmiast pensję, aby zarobek do pracy zachęcał. Ale to jedno ognisko nauki i pracy nie może skutecznie oddziaływać na kraj cały, którego kobiety pogrążone są w próżniactwie i biedzie.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Oddawna w kołach literackich Warszawy opowiadano sobie, że serce Stanisława Konarskiego znajduje się w posiadaniu p. Pika, optyka warszawskiego. Dwa lata temu, powzięto myśl wydostania tej pamiątki z rąk prywatnych i umieszczenia jej w jednym z kościołów grodu podwawelskiego; w Krakowie wszakże nie uznano podówczas chwili za odpowiednią i za wspólną zgodą sprawa odłożona została na później. Wiadomość tymczasem doszła do członków komitetu Muzeum Przemysłowego, i ci wyjednali odstąpienie pamiątki dla Muzeum, a ostatecznie dla konwentu krakowskiego księży Pijarów. Protokularny odbiór odbył się w d. 18 Stycznia 1882 r., jak to widać z Nr 319 *Tygodnika ilustrowanego* z r. b. — Pan Pik w Nr 18 *Gazety Polskiej* z r. b. ogłosił list swój do rektora kolegium pijarskiego w Krakowie, księdza Adama Słotwińskiego; w liście tym wskazuje, w jaki sposób doszedł do posiadania pamiątki. Oto podczas znoszenia Klasztoru Pijarskiego w Warszawie otrzymał serce od samych zakonników, wraz z dokumentami dowodzącymi tożsamości i innemi zabytkami popijarskimi. *Tygodnik* podał obok protokołu także i rysunek puszki metalowej w kształcie serca, obejmującej przedmiot za pamiątkę po wielkim obywatelu i reformatorze uważany.

Pan Pik nie mógł dotychczas wyszukać owego dokumentu, a dopóki go nie wynajdzie, tożsamość pamiątki wątpliwą będzie. Ani współczesne sknowi *Wiadomości Warszawskie*, ani mowa pogrze-

bowia księdza Zacharyaszewicza, ani *Pochwała* ks. Michała Dymitra Krajewskiego, nie o przechowaniu pamiątki, o samem nawet wyjęciu serca z ciała, nie wspominają. Słowa jednego o sercu Konarskiego niema w historycznych opowiadaniach, przy programmatach pijarskich z bieżącego stulecia. Nie mówią nic o tej pamiątce, ani Krasieki, ani Dmóchowski, ani Bielski, ani ksiądz Krupiński w pięknym swem wspomnieniu w *Encyklopedyi Powszechnej* S. Orgelbranda wiekszej. Uderzającym jest milczenie w programmatach z 1821 roku, rozповідаjących szczegółowo o robotach i urzędzeniach dokonanych na Zoliborzu. W tym samym roku ksiądz Hołowczyc poświęcił tam kaplicę, a zwierzchność kazała wmurować w bibliotecę dwie tablice: jedną dla Kopczyńskiego, drugą dla Konarskiego, tesame, które dziś znajdują się w kościele obok Fary przy ulicy Śto-Jańskiej. Czyżby nie wspomniano o sercu, gdyby je umieszczono w zbiorach zoliborskich? Jednem słowem, z dowodów dotychczas znanych, nietylko nie wypływa żadna pewność, ale przeciwnie, wyluszcza się uzasadnione powątpiewanie, które tylko przed dowodem czarno na białem ustąpić będzie mogło. Takiego dowodu niecierpliwie oczekujemy.

Czas zasypuje ludzi i wypadki popiołem: nie dziwnego, że o kolejach klasztoru i konwiktu pijarskiego w Warszawie błędne znajdują się w umysłach wyobrażenia. Odbicie ich spotykamy w liście p. Pika. Bezinteresowny ofiarodawca, z obywatelskich tylko działających pobudek, a nie rozważnie szarpnięty przez prasę, pisze w liście swoim do księdza Słotwińskiego, że Konarski był professorem kolegiów pijarskich na Zoliborzu. Konarski nie mógł być professorem kolegiów na Zoliborzu, bo tam za jego czasów żadne jeszcze kolegia nie istniały. Zolibórz (*Joli bord*) był aż do 1807 r. jedynie tylko folwarkiem i ogrodem, miejscem przechadzki i letniego pobytu konwiktorów pijarskich. Nie kolegia, lecz kolegium — którym to wyrazem oznaczano i szkołę i klasztor, zgromadzenie, dom zakonników, — *collegium nobilium*, albo *konwikt*, gdzie Pijar Stanislaus a S-to Laurentio był rektorem i nauczycielem, a następnie tylko najwyższym nadzorcą, mieścił się zrazu w *Collegium Vetus*, w possessyi później Hemplów przy ulicy Długiej, róg Wąskiej, a od 1754 r. w nowo wybudowanym przez Konarskiego, jego staraniem, jego apostolską gorliwością wzniesionym, wspaniałym domu przy ulicy Miodowej, w tym samym, w którym do 1876 r. urzędowały Wydziały Hypoteczne Trybunału Warszawskiego. Tu zastali konwikt Francuzi w Lutym 1807 r. i ztąd też władze tymczasowe, po ustąpieniu Prussaków usunęły konwikt, a miejsce po nim przeznaczyły na lazaret wojskowy. Kolegium samo, dom księży, na dawnym miejscu pozostało. Dzielnny Kaje-tan Kamiński, później prowincjał Zgrom. Pijarskiego, zaczął zaraz 1807 roku urządzać nowy konwikt w posiadłości owej *Joli bord*. Serce Konarskiego jeśli istniało jako pamiątka ze szczątków jego śmiertelnych wydzielona, mogło być przeniesionem na Zolibórz dopiero po urzędzeniu, choć częściowem, (w 1812 r.) konwiktu w nowej miejscowości; powiedziano zaś wyżej, że w świadectwach bezpośrednich niema nawet śladu takiego przeniesienia. Pamiątka, którą się wszyscy miłośnicy rzeczy ojczystych tak żywo zajmują, mogła się znajdować do r. 1834 w dawniejszym Kościele Pijarskim przy ulicy Długiej, a po przeniesieniu Pijarów na ulicę Śto-Jańską (w dniu 18 Marca 1836 r.), wraz z nimi, do 1864/5 r., na tem ostatniem już miejscu ich pobytu w Warszawie dotrwała. Według księdza Antoniego Moszyńskiego, byłego rektora Kolegium Lubieszowskiego, serce Konarskiego znajdowało się aż do 1830 roku w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Same wątpliwości: wszystkie je ów dokument, którego odnalezienia spodziewać się należy, powinienby rozproszyc.

— Po dwuletniem oczekiwaniu mamy nareszcie od miesiąca już w ręku swych *Kalendarz Wileński* na 1882 rok, wydania pani Orzeszkowej. Jest on arystokratą wobec *Kalendarza Litewskiego*, tak co do ceny, jak i co do treści, przeważnie literackiej. Najobszerniejszej i najważniejszej pracy dostarczył do kalendarza p. Piotr Chmielowski. Jest to kartka z dziejów umysłowości wileńskiej *Towarzystwo Szubrawców i Jędrzej Sniadecki* — przedruk z *Tygodnika Ilustrowanego* z 1878 roku, — kartka bardzo zajmująco spisana. W dziale poezji wystąpiły: pani Ilnicka z *Kandyotką*, p. Konopnicka z pięknym wierszem, drukowanym niegdyś w *Bluszczu*: *Do kobiety*, dalej z *Fragmentem* i opowiadaniem *Jaś nie doczekał* — nie doczekał promienia słońka, bo umarł z głodu i chłodu. Panie: Orzeszkowa i Kościalkowska przyswoiły dwa utwory niemieckie — nie bardzo szczęśliwie. Korkta, w całym *Kalendarzu* nieuważna, dla poezji była niemiłosierną. We *Fragmentie* p. Konopnickiej pierwsze trzy wiersze są zupełnie zepsute, a z 17-go wypuszczono ostatni wyraz „bładem“. Wiersz oryginalny p. Kościalkowskiej musi być jedną z pierwszych prób wierszowania: „Myśli zwiśają u zwątpienia łoża, Jako korale cierniste i kwiśte“ — na tolerancją nie zasługuje. W dziale prozaicznym zajmujące są p. Karłowicza: *Życzenie* *Do siego roku* i *Poradnik dla zbierających rzeczy ludowe*, ten ostatni opracowany z naukową dokładnością i starannością człowieka głęboko zamilowanego w obrany kierunek myśli i pracy. Zbieranie rzeczy ludowych jest u nas jednym z najważniejszych zadań umysłowych, a zadaniu temu można przy szczerych chęciach, bez wielkiego trudu, bez żadnego zgola naukowego przysposobienia, podolać. Każdy chętny do pracy, tak wdzięcznej i pożytecznej, w *Poradniku* znajdzie nieomylnego przewodnika.

— *Gościem*, najmiłszym gościem, jest kalendarz *Promyka* dla ludu: szczerze go też powitano i całym sercem przyjęto, a najlepszy tego dowód stanowi zupełne już prawie rozkupienie całkowitego nakładu, pomimo spóźnionego wydania. *Kalendarz Promyka* w warunkach danych, jest takim, jakim tylko być mógł: znajdują się w nim i wspomnienia historyczne przy właściwym kalendarzu, i opisy ziem i narodów europejskich, wraz z ogólnym wyobrażeniem o całej ziemi i Żywoty świętych, przeważnie narodowe, i rzecz o *Kurpiach* i *Nekrologia* z r. 1881, bardzo starannie dla ludu zebrana, i rady praktyczne człowiekowi na wsi potrzebne i bardzo szczegółowy dział *uwadami* *Historya prawdziwa o dyable*, ze znanego wydarzenia w Galicyi. Niekażdy z nas, myślą i piórem pracujących zasługuje się tak dobrze powszechności, jak wydawca warszawski kalendarzy, elementarzy i książek dla ludu, a dla pracy swej ma mniej sprzyjające niż inni warunki. Pragniemy, aby ten *Gość* przez jak najdłuższy szereg lat, z każdym Nowym Rokiem nas odwiedzał, coraz pełniejszy i doskonalszy. We Wspomnieniach zdarzają się błędy chronologiczne; tak np. data skonu Konarskiego 1774, jest o rok późniejszą od rzeczywistej. Zaczem u pracowników wśród przeciwności wytrwania tylko życzyć potrzeba. Uznanie społeczne już odbiera; samo wyznaczenie go do komisji nadzoru nad zakładaną przez Kraszewskiego Macierzą Polską jest zarazem i zaszczytem i urzędem, który się słusznie *Promy* kowi należy. Wolelibyśmy jeszcze widzieć go w samym zarządzie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 4-ty arkusz powieści pod tyt.: *Stoczona walka*.

TPEŚĆ. Kropelka rosy (poezya), przez L. K. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Gniazdo hetmańskie, (dalszy ciąg), studjum, przez Maryana Dubieckiego. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — *Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.*

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberga.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Января 1882 года.